Chyba coraz bardziej się staje jasnym, że żyjemy obecnie w czasie pełzającego i narastającego kryzysu politycznego. Jest to kryzys polskiej polityki jako takiej, ale także – a może przede wszystkim – kryzys polskiej prawicowości. I o nim chciałbym tu mówić. Od czasu katastrofy smoleńskiej w naszym życiu publicznym przeszliśmy już chyba wszystkie możliwe stany emocjonalne – od przerażenia, przez smutek, nadzieję, radość, zgorszenie, rozczarowanie, po przygnębienie lub zniechęcenie. Emocje te wiążą oczywiście się z konkretnymi przyczynami. Katastrofa, żałoba, kampania prezydencka, spór o krzyż, rozliczenia powyborcze, aż wreszcie rozłamy i kolejne, piąte już przegrane wybory – wszystko to można podsumować stwierdzeniem, że mamy do czynienia z kryzysem polskiej prawicy. Nie jest to zatem po prostu tylko zła atmosfera, ale cały ciąg wydarzeń, które widziane w ciągłości zmuszają muszą do postawienia diagnozy kryzysowej.

Sytuacje kryzysowe o charakterze pełzającym mają to do siebie, że mimo ich trafnego zdiagnozowania trudno jest przekonać większość zaangażowanych o prawdziwości tej oceny. Ludzie są bowiem wciąż związani emocjonalnie z myślowymi schematami, w ramach których kryzys jeszcze się nie ujawnia, wciąż wiążą nadzieje z mocą sprawczą pewnych osób, wciąż liczą, że karta się jeszcze odwróci. Pełzające kryzysy polityczne stają się kryzysami otwartymi dopiero w momencie jakiegoś spektakularnego załamania – w naszych czasach najczęściej gospodarczego. Na naszym polskim horyzoncie takie zagrożenia widać już powoli gołym okiem i z każdym dniem coraz wyraźniej. Załamanie demograficzne, kryzys energetyczny, zadłużenie państwa, niedorozwój infrastrukturalny, niedowład aparatu państwa z każdym rokiem będą nas kosztować coraz więcej.

Jednak przeciętny Polak zazwyczaj przed takimi problemami dużej skali ucieka w prywatność, nie chce o nich myśleć, wyłącza horyzont polityczny i pociesza się, że jakoś to będzie. Innymi słowy, zwleka z uznaniem sytuacji za kryzysową tak długo, jak tylko może. Takie wycofanie się, najczęściej oczywiście pogłębia kryzys. Nagromadzone problemy przytłaczają, a konieczne zmiany zawsze są bolesne. W sumie wiemy, ze chodzenie z zepsutym zębem kończy się jego wyrywaniem, ale skoro jeszcze mocno nie boli… Nic dziwnego zatem, że przez większość swojej nowoczesnej, porozbiorowej historii polska polityka kroczyła od kryzysu do kryzysu.

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Co gorsza, te kryzysy następowały najczęściej w momencie zmiany generacyjnej i wiązały się zazwyczaj z wyczerpaniem się pokoleniowego projektu modernizacyjnego. Jest to symptom poważnej dysfunkcji kulturowej i społecznej. Konstytucja polskiego społeczeństwa nie zawiera niestety mechanizmu sprawnej zmiany pokoleniowej. Każdy polski projekt modernizacyjny jest pokoleniowo domknięty i nie przewiduje mechanizmu przekazania pałeczki. To powoduje sytuację, w której niemal co pokolenie zaczynamy od początku, z wiarą, że może tym razem się uda. Życie wewnętrzne narodu polskiego wciąż poruszają się ruchem wahadła – od stanu sarmackiej stabilności do stanu nagłego zrywu. Od entuzjazmu do wyczerpania. Co jakiś czas nabiera ono szaleńczego tempa, by potem na dłuższy czas spocząć nieruchomo.

Tymczasem modernizacja jest procesem ciągłej, kroczącej zmiany i opartym na – mniej lub bardziej ograniczonej – ale nieustającej rywalizacji, która jest mechanizmem wyłaniającym zwycięzców. Polacy najczęściej walczą ze sobą (sobą samym i nawzajem), ale niestety rzadko kiedy rywalizują. Polska polityka jest walką partii, co gorsza również życie wewnątrz partii jest ciągłą walką. Wszystko na gigantycznym poziomie emocji. Przed męczącym życiem publicznym, uciekamy w zaciszne życie prywatne, z którego czerpiemy satysfakcję. Przednowoczesna mitologia poczciwego życia „pod lipą”, głęboko wpisana w polską tradycję, utrudnia nam zrozumienie, że zasada rywalizacji – będąca konstytucją społeczeństwa nowoczesnego – jest w gruncie rzeczy pewnym specyficznym typem kooperacji. W Polsce zamiast kooperacji opartej na rywalizacji (relacja horyzontalna), mamy od niepamiętnych czasów kooperację w relacji patron-klient (relacja wertykalna), czego skutkiem są wojny rodów, familii, partii, sitw i korporacji.

Rywalizując umawiamy się bowiem, że wygra lepszy. Przegrany jest gorszy, musi odejść. Obserwując życie polityczne tzw. dojrzałych demokracji, np. amerykańskiej, brytyjskiej czy niemieckiej zauważymy, że nie ma tam – znanych nam w Polsce – postaci mężów opatrznościowych polityki. Szefowie partii po nieudanych wyborach odchodzą na drugi plan, ponieważ to im przypisuje się odpowiedzialność za porażkę. Przegrali, czyli popełnili błędy. Po drugie, toczy się tam stała rywalizacja. Przywództwo w partiach wyłaniane jest w ramach konkursów na lidera, w USA politycy aby kandydować muszą sprawdzić się w prawyborach, czyli wyborach na kandydata. Żadnego z tym zjawisk nie zobaczymy w dwóch najważniejszych polskich partiach. Zamiast tego mamy moralne szantaże zagrożoną ojczyzną lub lękową mobilizacją w oparciu medialną karykaturę człowieka. Z jednej strony, porażki przez nieporozumienie, z drugiej zapowiedzi „wyginięcia jak dinozaury”. I co

najbardziej przygnębiające, dwaj walczący ze sobą główni politycy, nie są przywódcami. Innymi słowy, nie umieją przewodzić.

Ja sam na życie polityczne staram się patrzeć bez emocji – analitycznym okiem filozofa polityki. Tak zostałem wychowany przez moich nauczycieli. Moje zaangażowanie w sprawy polityczne jest przede wszystkim racjonalne, oparte bardziej na zasadach, niż na więzi z konkretna osobą lub szyldem partyjnym. Całkowicie zapewne niezgodnie z polską naturą politykowania, które od najdawniejszych czasów było „zamaszyste". Dobrze wszelako zdaję sobie sprawę z tego, że polityka w republice opiera się na społecznych emocjach i potrzebie personalnego przywództwa. Wynika to z całej klasycznej filozoficznej refleksji nad polityką. Tradycja republikańska, którą uznaję za swoją, uczy jednak, że aby naród polityczny mógł dobrze funkcjonować owe emocje muszą być regulowane i kanalizowane przez dobry ustrój, który pozwala wyłaniać dobrych przywódców. Chodzi tu zarówno o dobrą konstytucję polityczną, jak i o konstytucję społeczną a ostatecznie o konstytucję duchową.

Na zmianę konstytucji politycznej nie mamy dziś szans, o konstytucji duchowej nie chcę tutaj mówić. Chciałbym się skupić na tym, jak Polacy powinni udoskonalić swoją konstytucję społeczną. Coraz wyraźniej rysuje się w Polsce różnica między pokoleniami młodszymi uczonymi i przyzwyczajonymi do zasad równości i rywalizacji, a pokoleniami starszymi hołdującymi zasadzie hierarchiczności i solidarności. To młode pokolenie jest dziś właściwie naszym jedynym znaczącym narodowym kapitałem. Jego siły nie upatruję bynajmniej w dobrej edukacji, bo była ona masowa i złej jakości, ale przede wszystkim właśnie w rozumieniu wartości konkurencji. Jego największym deficytem z kolei jest to, co nazywa się kapitałem społecznym, czyli zaufanie umożliwiające współdziałanie. W efekcie, rywalizacja bywa brutalna, a wejście w dorosłość polega na brutalnym odkryciu, że powodzenie osiąga się poprzez podczepienie swojego wagonika do czyjejś lokomotywy. Innymi słowy, znika obecna u starszych pokoleń solidarność, ale trwa klientelizm. Tymczasem chodzi nam o zdolność do współdziałania przez rywalizację, to ona bowiem jest kluczową cnotą modernizacji.

Nie należy mieć złudzeń, że ową cnotę szybko da się wpoić w masowej skali. Na początku musi powstać pewna wizja i mechanizm przygotowania elit oraz wytyczone muszą być ścieżki kariery. Potem ten proces przyspiesza i nabiera masowości. Widać to doskonale, gdy przyjrzymy się wspaniałym dokonaniom polskiego oświecenia. Od wizji, czyli traktatu politycznego księdza Stanisława Konarskiego oraz jego elitarnego Collegium Nobillium, przez biskupa Krasickiego i

jego błyskotliwą propagandę moralną (satyry społeczne), aż po księdza Kołłątaja i Komisję Edukacji Narodowej potrzeba na to co najmniej trzech pokoleń by doprowadzić do głębokiej przemiany społecznej zwieńczonej Konstytucją Trzeciego Maja. W Polsce proces zaczynał się zazwyczaj gdzieś w sferze obywatelskiej, by dopiero potem stać się elementem działań państwa. Jak jednak miałoby to wyglądać w dzisiejszej rzeczywistości? Polskie partie są chore. Po pierwsze, są wydrążone wewnętrznie, nie są dojrzałymi organizacjami, tzn. nie posiadają wewnętrznych procedur, mają rachityczne struktury i niewielu członków (PiS i PO – do 30 tys. członków). W komitetach poparcia Jarosława Kaczyńskiego, które zebrały ponad półtorej miliona podpisów było kilkanaście tysięcy ludzi, czyli niemal tyle co w samej partii. To oczywiście wzbudziło dużą nerwowość w jej szeregach. Po drugie, system finansowania publicznego i niski poziom otwartości sprawia, że nawet tak antyestablishmentowej partii jak PiS wyraźnie grozi dziś korporatywizacja i polityczny nepotyzm. Wystarczy spojrzeć na ilość krewnych, powinowatych i pociotków na listach wyborczych do samorządów. Innymi słowy, politycy powoli stają się kolejną obok profesorów, lekarzy, prawników, artystów itp. korporacją i grupą interesów zorganizowaną wokół więzi rodzinnych i relacji patron-klient. I podobnie jak tamte grupy wykorzystują publiczne fundusze w luźnym związku z ich właściwym przeznaczeniem.

Problem oczywiście polega na tym, że partie są nam koniecznie potrzebne, ponieważ są podstawowym wehikułem politycznym w demokracji przedstawicielskiej. Jednak w naszym kraju partie muszą zostać uzupełnione politycznymi instytucjami zaufania publicznego. W Niemczech każda partia polityczna posiada zasobną fundację polityczną, która jest zapleczem merytorycznym polityków, źródłem stypendiów, ośrodkiem edukacji politycznej młodzieży oraz narzędziem niemieckiego soft power. Dość powiedzieć, że trudno znaleźć w Warszawie instytucję okołopolityczną, która nie byłaby finansowana z pieniędzy niemieckich podatników poprzez owe fundacje. Kto zaś płaci, zyskuje sympatię i może potem wymagać.

Dlatego w Polsce musimy zacząć od sprawy trudnej, ale kluczowej – czyli od pieniędzy. Polacy nie lubią polityki i nie chcą dawać pieniędzy na cele polityczne. Zdecydowanie łatwiej przychodzi im łożenie na cele religijne (często zbytkowne), zdrowotne oraz na sierotki. Finansowanie publiczne partii politycznych również im się nie podoba. W konsekwencji jedyną grupą, która chętnie sfinansowałaby politykę są grupy interesu i reprezentujący je lobbyści. A tymczasem jaka jest moc drobnych sum pieniężnych przekonuje nas choćby imponujące dzieło Radia Maryja,

czy ostatnia kampania Baracka Obamy, który połowę z ponad 1 mld dolarów zebrał w formie kilkudolarowych datków od biednych ludzi. Pieniądz to nośnik wartości, ale i informacji. Polacy powinni poinformować polityków, że cenią instytucje polityczne, które realnie rywalizują o ich zaufanie.

Podobnego wsparcia powinny doczekać się w Polsce bowiem instytucje polityczne inne, niż partie, czyli np. think tanki i fundacje animujące życie obywatelskie – towarzystwa samokształcenia, ruchy nacisku czy organizacje strażnicze, tzw. watch dogs. Instytucja, którą reprezentuję – Instytut Sobieskiego – jest jedyną znaczącą polską fundacją polityczną, która nie utrzymuje się z pieniędzy z zagranicznych źródeł. W konsekwencji nasz budżet jest nawet kilkunastokrotnie mniejszy od podobnych nam fundacji lokujących się w centrum i po lewej stronie polskiej sceny politycznej. Jednocześnie jesteśmy jedyną instytucją, która mając w swoich szeregach wybitnych młodych naukowców i praktyków, nie ucieka w politycznie poprawne abstrakcje, tylko otwarcie deklaruje zaangażowanie polityczne i systematycznie pracuje z politykami. Co jednak charakterystyczne, polscy politycy – obracający kilkudziesięcioma milionami złotych rocznie – nie bardzo palą się do inwestycji w tego typu inicjatywy. Wolą bilboardy i reklamy. Dlatego właśnie potrzebne jest wsparcie obywatelskie. Jest to właściwie forma nowoczesnego patriotyzmu. Dysponując bowiem większymi środkami fundacje takie, jak nasza mogłyby rozwijać efektywnie dobrze sprawdzające się np. w USA inicjatywy zaufania publicznego. Mam na myśli choćby media – np. całodobowe radia internetowe, wysokiej jakości internetowe tygodniki opinii, gdzie autorzy dostają godziwe wynagrodzenie za pracochłonne i wartościowe teksty. Można byłoby na szerszą skalę otworzyć szkoły liderów i akademie politycznej edukacji młodzieży akademickiej, uczące ich pracy zespołowej, metody projektowej i innych praktycznych umiejętności przydatnych przez całe życie. A przy tym, wychowujące ich na zaangażowanych i kompetentnych uczestników życia publicznego pod okiem wybitnych praktyków i akademików uwolnionych od biurokratycznego gorsetu państwowej szkoły wyższej. Czyli coś zasadniczo odmiennego, niż młodzieżówki partyjne, gdzie tresuje się służalców i karierowiczów.

Bez tej podstawowej inwestycji, tzn. bez przekucia naszego kapitału społecznego w instytucje zaufania publicznego, nie będziemy mieli szans wyjść z kryzysu, kiedy wreszcie w nas mocno uderzy.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl, autor: Jan Filip Staniłko.